MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 54. WARSZAWA, 28 GRUDNIA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

NIEMCY A POLSKA

POD takim tytułem ukazał się w „Gazecie Warszawskiej" szereg artykułów Romana Dmowskiego, poświęconych najważniejszemu zagadnieniu z dziedziny polityki zagranicznej Polski. Autor ujmuje w nich sprawę stosunków polsko-niemieckich z punktu widzenia historycznego i na tej podstawie wypowiada swe poglądy na przyszły rozwój mających już swą tysiącletnią historję zmagań między dwoma sąsiadującemi ze sobą narodami. Publicystyka nasza musi się zajmować z konieczności nasuwanemi jej przez wypadki dnia zagadnieniami, tymczasem nietylko właściwa ocena tych wydarzeń, lecz i kreślenie linij rozwojowych polityki wymaga, by spoglądano na to, co się dzieje, okiem historyka i filozofa, by dany moment dziejowy rozpatrywano w związku z przeszłością i z przejawami zapowiadającemi przyszłość. Tę metodę, której używał zawsze Dmowski dla dojścia do wskazań w swej praktycznej działalności politycznej, zastosował obecnie do zagadnienia polsko-niemieckiego.

Traktat Wersalski zniweczył dzieło rozbiorów z wieku XVIII i cofnął wschodnią granicę Rzeszy ku zachodowi. Natychmiast po podpisaniu traktatu rozpoczęły Niemcy prowadzenie polityki, zmierzającej nietylko do usunięcia następstw klęski wojennej, lecz i do osiągnięcia celów, których osiągnąć nie zdołały przez wojnę — opanowania swemi wpływami Europy środkowo-wschodniej, oraz ekspansji politycznej i gospodarczej na przestrzeniach zajmowanych przez państwo rosyjskie. Niemcy uznali wojnę i klęskę tylko za przemijający incydent w swym rozwoju dziejowym, sądzą oni, że te same siły i czynniki, które pchały je w ciągu wieków ku wschodowi i zaznaczyły ich historję szeregiem powodzeń, nie przestały działać i stanowią dostateczną podstawę do tego, by z wiarą i optymizmem patrzeć w przyszłość. Otóż w tę wiarę niemiecką, w tę pewność, że wielkie siły dziejowe są dziś po stronie niemieckiej, tak jak były dotychczas w ciągu szeregu wieków, uderza Dmowski. Twierdzi on, że te warunki, które służyły ekspansji niemieckiej, które powołały do życia Niemcy zjednoczone na gruzach Polski i umożliwiły dziedzicom Zakonu Krzyżowego narzucenie swego piętna duchowego całemu narodowi niemieckiemu, że warunki te — powtarzamy — przestały istnieć.

Trzy są — jak wynika z artykułów Dmowskiego — kategorje przejawów, świadczących o tem, że Europa i Niemcy przeżywają moment zwrotny swych dziejów: zmniejszenie się rozrodczości narodów germańskich, kryzys gospodarczy, przeżywany przez Niemcy i inne państwa, posiadające wysoko rozwinięty przemysł, oraz przeobrażenia moralne w świecie protestanckim. Fakty świadczące o rzeczywistości wskazanych powyżej objawów biją w oczy każdego, nikt im zaprzeczyć nie zdoła. Tylko, że ludzie powierzchowni uważają przejawy te za przemijające, nie wiążą ich w jedną całość, nie rozumieją przyczyn, które je wywołują.

Tymczasem statystyka wykazuje, że rozrodczość niemiecka równa się już dziś rozrodczości Francji i że za lat 20 ludność Niemiec się ustabilizuje; przekonano się, że kryzys gospodarczy w Europie nie jest normalnym kryzysem w rodzaju tych, jakie co pewien czas nawiedzały nasz kontynent, lecz jest następstwem zupełnego przewrotu w strukturze gospodarczej świata, naskutek dążenia wszyst-

kich państw i narodów do posiadania własnego przemysłu, co prowadzi do upadku hegemonji przemysłowej Europy zachodniej; wreszcie zgodne są świadectwa, stwierdzające upadek dyscypliny protestanckiej. Uogólniając, możnaby zapewne powiedzieć, że patrzymy na zmierzch nietylko germanizmu, lecz także światopoglądu i wierzeń, które wprowadziła w wieku XVI w Europie Reformacja.

Dzieckiem jej pierworodnem był materjalizm, który po dzieciństwie, przeżytem w okresie Oświecenia, zapanował niepodzielnie w ciągu wieku XIX i był podstawą nietylko życia duchowego i zbiorowego ludów europejskich, lecz znalazł także wyraz w strukturze i życiu gospodarczem narodów, które narzuciły swą władzę światu i bogaciły się z wyzyskiwania jego zasobów.

Wchodzimy w nowy okres dziejów. „Odbywają się — pisze Dmowski — niesłychanie doniosłe i głębokie przemiany. Przemiany te są w małej zaledwie części skutkami wojny światowej, ona raczej tylko może je przyśpieszyła. Pracował na nie cały wiek dziewiętnasty, a źródeł wielu z nich trzeba szukać w paru poprzednich stuleciach. Żyjemy bodaj w epoce tak doniosłej, tak brzemiennej następstwami dla dalszych dziejów świata, jak przejście od wieku XV-go do XVI-go, czasy odkrycia Ameryki, organizowania się państw i gospodarstw narodowych w Europie, humanizmu, Odrodzenia, Reformacji". Najgłębsze przemiany przechodzą te kraje, które zostały ogarnięte przez Reformację, a wśród krajów tych — Niemcy.

Oto są potężne czyniki dziejowe, które sprawiają, że „posuwanie się niemczyzny na wschód jest już raz na zawsze skończone".

Zarówno politycy niemieccy, jak cała opinja niemiecka tego właśnie nie rozumieją, a polityka niemiecka stawia sobie takie cele i działa takiemi metodami, jakby się nic w Europie nie zmieniło. Stąd płyną dążenia rewizjonistyczne Niemiec i ich pewność, że stan rzeczy na wschodzie Europy ma charakter przejściowy. Tymczasem w świetle wywodów Dmowskiego dążenia te nie liczą się z rzeczywistością polityczną i z nowym układem stosunków w Europie. „Cała niemiecka polityka rewizjonistyczna w stosunku do granicy z Polską — pisze Dmowski — jest jednym wielkim anachronizmem, jest walką z dzisiejszym kierunkiem rozwoju życia i Polski i Niemiec. Życie zaś to straszny przeciwnik — ono zawsze zwycięża". Dmowski idzie dalej, twierdzi on, że nawet gdyby się Niemcom udało odzyskać te ziemie polskie, które przed wojną posiadały, to nie zdołałyby one ich w swem posiadaniu utrzymać, bo naskutek działania potężnych sił dziejowych, żywioł polski, silniejszy biologicznie od niemieckiego, nietylko nie dałby się zniweczyć, lecz zacząłby się posuwać ku zachodowi. Powstałaby wewnątrz państwa niemieckiego kwestja polska, którąby dla istnienia jego była zabójcza. „Rozrodczość polska i głód polskiego chłopa na ziemię, przy niemożności zamknięcia granicy przed Polakami, już obywatelami niemieckimi, sprawiłyby, że dźwięki mowy polskiej rozlegałyby się coraz bliżej Berlina. Katastroficzny spadek naturalnego przyrostu ludności niemieckiej sprawiłby, że granica etniczna polsko-niemiecka posuwałaby się szybko na zachód, przygotowując na przyszłość granicę polityczną, wobec której linja traktatu wersalskiego wydawałaby się Niemcom dobrodziejstwem". A dalej: „Te zmiany, które zachodzą dziś w narodzie niemieckim... sprawiają, że rozszerzanie się jego państwa na ziemie nie niemieckie jest dla niego bardzo niebezpieczne, w przyszłości musiałoby się okazać wprost zabójczem".

Z powyższego wyłania się wniosek ostateczny: W zmaganiu się naszem z Niemcami mamy dziś siły dziejowe po swojej stronie. Wniosek to wielkiej wagi dla naszej polityki praktycznej.

Przekonanie to daje nam wiarę w ostateczne zwycięstwo. Nie może jednak nas uwolnić od pracy, wysiłków i czujności. Bo zadaniem naszem pozostaje wciąż umiejętność i zdolność wyzyskania dogodnych warunków. Zresztą Niemcy żyją dawną swą wiarą i nic nie zapowiada, by zeszli z drogi swej polityki rewizjonistycznej. Na drodze tej utrzymuje ich nietylko właściwa im ocena realnego położenia politycznego, lecz także pewien nastrój mistyczny, który najlepszy wyraz znajduje w ruchu narodowo-socjalistycznym Hitlera. Należy się obawiać, że miejsce obecnych umiarkowanych i liczących się, bądź co bądź, z rzeczywistością polityków, którzy dziś sprawują władzę w Niemczech, zajmą ludzie, będący wyrazicielami pierwotnych instynktów i zaznaczonej powyżej wiary mistycznej, demagodzy schlebiający ślepym poruszeniom mas, którzy na całej Europy, a także swoje nieszczęście mogą wywołać nieobliczalne w skutkach wypadki. Do tego dojść może kalkulacja sfer wojskowych niemieckich, które wciągają w swe rachunki zagadnienie rozrodczości i mogą uznać, że przyśpieszenie wojny daje Niemcom większe szanse zwycięstwa.

Prowadzenie polityki przez państwa zachodnie może się stać także czynnikiem i powodem katastrofy wojennej. W naszem przekonaniu tedy świadomość tego, że siły dziejowe po naszej są stronie, nie może w najmniejszej mierze wpłynąć na osłabienie naszej czujności, ani też powstrzymać nas od żądania gruntownej zmiany polityki naszej w stosunku do Niemiec, a mianowicie wyjścia z bezczynności i zerwania z metodą ustępstw.

Wywodami swemi daje Dmowski pośrednio wskazówkę dla tych, co reprezentują Polskę nazewnątrz i co prowadzą z ramienia rządu polskiego propagandę w interesie Polski. Wszak silnym sprzymierzeńcem Niemiec jest istniejące, niestety, na zachodzie przeświadczenie, że jakaś fatalna konieczność

pcha do tego, by zadośćuczynić ich żądaniom. Przeświadczenie to wynika, często nieświadomie, z przekonania, że siły historyczne pchają Niemcy na wschód i że siły te są tak potężne, że daremną jest rzeczą przeciwstawianie się im. Przekonanie opinji zachodniej o słuszności tezy Dmowskiego byłoby dla sprawy naszej dużą wygraną bitwą. Nie trzeba zaś przypuszczać, że zainteresowanie tem zagadnieniem opinji narodów zachodnich jest rzeczą bardzo trudną. Myślą tam więcej i głębiej, niż u nas, sprawy poruszone przez Dmowskiego są tam rozważane i oświetlane, ludzie stawiają sobie podobne pytania, zajmują się temi tematami publicyści, pisarze polityczni i społeczni. Grunt jest podatny, trzeba tylko umieć rzucić nań właściwe ziarno...

Wśród doświadczeń, trosk i tragedyj życia politycznego w Polsce odrodzonej stawiają sobie myślący Polacy zapytanie — jaką będzie przyszłość Polski? A stawiając je, muszą przedewszystkiem widzieć położenie geograficzne naszego kraju wśród dwóch potężnych sąsiadów — Niemiec i Rosji — muszą sobie przypominać, że współdziałanie tych sąsiadów i ich rozrost w sprzyjających im warunkach doprowadziły do upadku państwa polskiego w wieku XVIII-ym. Zagadnienie to — jak wiemy z jego pism — nie opuszcza umysłu Dmowskiego. Oświetlił je w sposób jasny i przekonywający z dwóch stron: zarówno ze strony rosyjskiej, jak i niemieckiej. Niedawno wskazał na przełom w rozwoju polityki rosyjskiej, spowodowany przeobrażeniami, jakie się odbywają w Azji, co zwiąże z czasem z zagadnieniami wschodniemi uwagę i siły polityczne Rosji. Obecnie zajął się przełomem w życiu narodu niemieckiego, przełomu, który zahamować musi zdolności ekspansywne Niemiec i położyć kres ich posuwaniu się na wschód. Naskutek tych przemian jest Polska dziś w innem zgoła położeniu niż była w drugiej połowie wieku XVIII-go. Inne otwierają się przed państwem polskiem perspektywy na przyszłość, w innych, pomyślniejszych warunkach będzie ono pracować nad wypełnieniem swej misji dziejowej.

STANISŁAW KOZICKI

O „LEGNICKIEM POLU”

I. POWIEŚĆ HISTORYCZNA O WIEKU XIII

NOWA powieść Kossak-Szczuckiej („Legnickie Pole“, Kraków, 1930, Spółka Wydawnicza, str. 285) przenosi nas w czasy mało wyzyskane przez naszych pisarzy historycznych, gdyż oprócz Kraszewskiego, który nie ominął żadnej epoki naszych dziejów, tylko — o ile wiem — Stanisław Wasylewski sięgnął w swej powieści „*Ducissa Cunegundis*“ do owego wieku XIII, pod tylu względami przełomowego dla naszej historji.

Szczucka, która już w „Szaleńcach Bożych“ dotykała tej epoki, teraz osnuła na jej tle swą nową, nader cenną powieść historyczną, znacznie przewyższającą jej utwór poprzedni - „Złotą Wolność“. Tam miazga historji nie była jeszcze doskonale przerobiona na tworzywo artystyczne, to też zbyt często widzieć się dawała fastryga uczoności i ślady roboty arcy-pilnej czytelniczki źródeł historycznych, co upodobniało „Złotą Wolność“ do utworów Łozińskiego czy Kraszewskiego. Także wpływy obce, Sienkiewicza przedewszystkiem, były aż nadto widoczne. Tutaj, w „Legnickiem polu“, gruntowna i sumienna praca przygotowawcza pisarki, mająca na celu zżycie się z przedstawioną epoką, tak trudną do poznania i zrozumienia, acz została wykonana jeszcze bardziej dokładnie, to jednak równocześnie przetopiona w organiczną całość, tak że cała, że tak rzekę, kuchnia pisarska nie jest widoczna i artyzm przepaja tworzywo powieści, dając wrażenie prawdy poetyckiej.

Nader pomocnem narzędziem suggestji artystycznej jest tu język, zajmująco, z dużym nakładem pracy ukształcony z archaizmów, prowincjonalizmów śląskich, wreszcie z nader licznych, lecz celowo użytych germanizmów, co wszystko umiejętnie zabarwia mowę osób działających w powieści.

W odtwarzaniu kolorytu epoki autorka nie szczędzi trudu i roztacza przed nami coraz to inne środowiska i sytuacje. Więc oglądamy stolicę Mongołów, Karakorum, wędrujemy w towarzystwie Chińczyków przez Azję i Europę, aż do Kijowa i Wrocławia, retrospektywnie zawadzamy o Wenecję, zajętą handlem i intrygami, przebywamy w osiedlach włodyków śląskich, w głębiach puszcz, ponad złożami węgla kamiennego, którego znaczenia i wartości naonczas jeszcze nie podejrzewano zupełnie, — a nakoniec we Wrocławiu, na dworze książęcym, na rynku, w sklepach, w więzieniu..

Autorka zwraca najbaczniejszą uwagę na tło historyczne i obyczajowe epoki, podobna w tem do Berenta („Żywe kamienie“) oraz Sygrydy Undset („Krystyna“), acz niewątpliwie wpływy tych pisarzy występują dość dyskretnie i bynajmniej nie rażą (W tem znaczny postęp w porównaniu ze „Złotą Wolnością“). Także wyczucie psychogji epoki wykazuje p. Szczucka naogół znaczne, tylko że możnaby jej zarzucić, że ma większe zrozumienie dla jej przesądów i niedokształceń, np. dla przeżytków pogańskich oraz rygoryzmu religijnego, niż dla pozytywnych stron przecudownej religijności owych czasów. Więc, może ustępując pozytywistycznym nałogom racjonalizowania, nie maluje ona wcale (może tylko chyba z wyjątkiem przedśmiertnych chwil Henryka Pobożnego) ekstazy religijnej, tak przecież zwykłej naonczas. Nawet religijność św. Jadwigi pociągnięta jest owym racjonalizmem. Z tych właśnie względów bardziej przekonywająco jest oddana moralizatorska religijność Chińczyków.

Patrjotyzm Konrada, starszego syna Henryka Brodacza, pragnącego wyzwolić Śląsk z nasuwającej się hydry germanizmu, zabarwiony jest wyraźnie pojęciami doby dzisiejszej, natomiast arcy-świetnie maluje autorka naiwność i iście słowiańską bezbronność, z którą poddaliśmy się w tej piastowskiej dzielnicy agresywności niemieckiej.

Główny wątek fabularny, osnuty na tle miłości dwojga młodych wenecjan, odgrywa w powieśni rolę podrzędną, wiążąc tylko w sposób naogół udatny (podobnie jak w „Faraonie“ Prusa) setki i tysiące drobnych szczegółów, ciekawych i głębokich spostrzeżeń oraz trafnych charakterystyk, zaznaczanych często mimochodem, np. owego karczmarza i plebana wiejskiego w jednej osobie, Pietrka, nie rozumiejącego ani słowa po łacinie, lecz odprawiającego mszę świętą z całą naiwną wiarą i żarliwością pierwotnego chrześcijaństwa, bezwzględnie ufającego w cudowności zaklęć, wymawianych przez siebie. Tegoż Pietrka przywiązanie do żony i osłupienie wobec żądania celibatu — to są również perełki, nie będące zresztą unikatem w tej pięknej powieści, znaczącej krok naprzód w twórczości świetnej pisarki.

Na końcu uwaga o charakterze utylitarnym: sądzę, że Ministerjum W. R. i O. P. powinno koniecznie polecić „Legnickie pole“ do lektury domowej w wyższych klasach gimnazjum.

STANISŁAW CYWIŃSKI

II. ŚWIAT ŚLĄSKI W „LEGNICKIEM POLU“

NIE bez pewnej słuszności zwrócono uwagę, że nowej powieści Kossak-Szczuckiej brak szerokiego rozmachu epickiego, że niektóre części powieści potraktowała autorka zbyt szkicowo. Przedstawienie świata śląskiego szczególnie sprawić może pewne rozczarowanie swem nieco pobieżnem potraktowaniem, zwłaszcza, jeśli go się przeciwstawi części mongolskiej: gruntownie, barwnie i plastycznie ujętej.

Jakżeż się przedstawia ten świat polski, śląski w „Legnickiem Polu“? Mało opisów ogólnych, krajobrazowych: Polska to kraj „miękko falisty, urodzajny, radosny i miły dla oka. Pod osłoną lip, upstrzonych barwami... chaty-sadyby, ciemne i utulne“. O ludzie polskim pierwszą wzmiankę robi Bartolomeo, że „Polacy są kłótliwi“, później druga wzmianka, że lud polski jest „beztroski, gościnny, o łagodnym obyczaju“, chrześcijański wprawdzie, ale czczący dawne zabobony. — Na Śląsku zaś „ludu skąpo, zwierza mnogość... mury z tarcic drewnianych, gliną obłożonych. Trafiają się murowane, ale zrzadka, za dziw wielki uważane, kraj bogaty lecz dziki“. Tu i ówdzie spotykamy opisy puszczy, wioski, chat (gospody plebana, chaty wójta Spicymira). Wszystkie te opisy łączą się w pewną całość, ale pojęcia dokładnego o ówczesnym Śląsku nie dają.

Ludność śląska rozpada się na trzy dość odrębne światy, choć z sobą i obok siebie żyjące. Lud prosty jest w powieści tylko tłem dekoracyjnem. Właściwego ludu śląskiego, jego obyczajów, życia, stosunku do innych części ludności, prawie nie poznajemy. Przelotnie prezentuje nam autorka grupę ślązaków „przy małych drewnianych wózkach... o przyodziewku z płótna, o czapkach baranich“... dalej znów „siedziały... największe biedaki puszczańskie i wsiowe: zbieracze czerwiu o palcach stwardniałych jak sęczki“ o „wytartych, włosem do góry wywróconych kożuszkach“. Reprezentantem ludu jest ks. pleban-karczmarz, prostak naiwny, o gołębiem sercu. Przy innej sposobności dowiadujemy się, że lud śląski jest muzykalny, chciwy opowiadań i piosenek, chętnie przyjmuje śpiewaków wędrownych, racząc ich obficie za wesołe piosenki. Usposobienia jest łagodnego, jak przytwierdza *messer* Antonio z orszaku legata, gdyż zbójców jest tu mniej niż, w Niemczech i Italji. Ślązacy są chrześcijaninami jak i inni Polacy, zabobonni jak inni Polacy. Moment powierzchownego chrześcijaństwa podkreśla Szczucka bardzo często. Lud żyje ubogo, bezpretensjonalnie, bo też znajduje się w gorszem położeniu, niż lud niemiecki, sprowadzany na Śląsk, któremu książe oddaje najlepsze ziemie, otacza specjalną opieką, specjalnemi prawami, przywilejami.

O mieszczaństwie polskiem na Śląsku nie słyszymy nic, za to poznajemy dość dokładnie mieszczaństwo niemieckie we Wrocławiu, przedstawione przez autorkę żywo i barwnie.

Rycerstwo rdzennie polskie, śląskie, stosunkowo zamożne, żyje dostatnio, jest gościnne, dumne i odważne, prawdziwie polskie, choć tu i ówdzie zarażone wadami rycerstwa niemieckiego.

Na uczcie u Spicymira poznajemy zawistnego zuchwalca Dobrogosta, który opuścił Konrada za obietnicę kasztelanji; oto Dzierżek, srogi w gębie, gdy daleki od małżonki, tu znów Jędrzej, syn Sresza, małomówny ale mąż słowny i pewny. Prosimir—to chorągiewka, obracająca się wedle wiatru—widzimy wokoło stołu wielu innych „dobrych wojów.“ Najpyszniejszą i najsympatyczniejszą postacią to Konrad, syn Henrykowy. Doczekał on się w powieści Korsak-Szczuckiej pięknych kart, zasłużonej oceny. Wydobyła go autorka z zapomnienia, jak się tego domagał Ignacy Chrzanowski w broszurze o „zapomnianym bohaterze śląskim“ (Pierwszą próbą wskrzeszenia tej ciekawej i tragicznej postaci była opera Jasonia: „Konrad Kędziarzawy“). Konrad, nieokrzesany, na pół barbarzyńca—to gorący Polak, płomienny patrjota, nieubłagany wróg Niemców i niemczyzny, gotów do wszystkiego, by Śląsk wyswobodzić od Niemców, ściągniętych ku krzywdzie Ślązaków na piastowską ziemię, gotów do walki na śmierć i życie przeciw bratu i ojcu, gdyby tylko konieczność wymagała, ufny i ofiarny — ale kiepski znawca ludzi. Barbarzyńcą się wydaje, bo nie stroi się z niemiecka, bo nie umie gładko mówić, bo wierzy we wróżby, gardzi wzniosłemi ideami brata, nie rozumie zamysłów ojca. Pozbawiony, jakby sądzić można, silniejszych uczuć rodzinnych, bo potężniejsza w nim miłość ziemi, kraju, ludu, obyczaju polskiego. Przewidujący, och, jakże przewidujący... Ocenił rolę Niemców na polskiej ziemi odrazu i trafnie. Nie imponuje mu gospodarka niemiecka i ład Saksonu, ni bogactwo przez Niemców wniesione na Śląsk: „Ociec Polskę chce zładzić, królować, Niemców odeprzeć — a Niemców wiele może, skludza. Żeby być krzepniejszym, prawi. Na śmiech takie gadanie! Niemiec was będzie bronić od Niemców? I dziecko w to nie uwierzy. One nas zeżrą, te Niemce przechytre. Ze wszystkiem zeżrą, nic nie ostanie. Ni mowy, ni obyczaju. A ja za to— za Śląsko — w ćwierci dałbym się porąbać“. Konrad wie, że z idei ogólnego braterstwa chrześcijan, którą głosi brat Henryk — nie będzie nic. Niemcy, jak reszta Europy, kpią z łatwowierności Polaków. Konrad mieć będzie rację, przekona się o tem Henryk, ginąc osamotniony na Legnickiem Polu. Wtedy z głębi zasmuconego serca wyrywają mu się słowa: „Bracie mój... Ostawili mnie samego... Tyś był w on czas praw, nie ja. Daruj mi bracie, och, daruj, bo gorzej mi

się stało w godzinę skonu mojego..“ Wstrząsającą tę tragedję, odgrywającą się w duszach Henryka i Konrada, oddała Szczucka po mistrzowsku. Konrad zyskuje zwolenników do walki przeciw Niemcom, ojcu i bratu — zostaje jednak w decydującej chwili sam. Chroni się po nieuniknionej klęsce, pełen wstydu i żalu, do puszczy, ścigany przekleństwami,— i tu ginie w moczarach. Śmierć Konrada nie budzi żalu nawet u ludu, dla którego przecież walkę rozpoczął.

„Ślązaki muszą go żałować" zauważył mandaryn „Iii-nie!“... Gadałem tu z jednym oficerem, prawił, lepiej ta, że się utopił. Niemce są psy zatracone, ale bez nich ustałoby kupczenie“.

Tu i słowa już dodać nie trzeba.

Zatrzymaliśmy się dłużej przy Konradzie, bo mimo swych wad, — on reprezentuje właściwy Śląsk, element najbardziej polski, odrębność plemienną, w powieści Szczuckiej. Jest też nieprzemijającą zasługą autorki, że postać tę wskrzesiła, tak jasno i krzepko ujęła, potomności przypomniała.

Obaj Henrykowie, ojciec i syn, olśnieni ideami zachodniemi, inaczej sobie wyobrażają dobro Śląska i Polski. Ład niemiecki, ich zmysł organizacyjny, wzniosłość idei chrześcijańskiej zamknęły im oczy na rzeczywistość. Oczerniali jedno — nie doceniali drugiego i padli tego ofiarą. Szlachetna postać Henryka Pobożnego, jego tragiczne bohaterstwo domagało się sprawiedliwej oceny i uzyskało ją w powieści Szczuckiej. Wszystkie trzy postacie książąt śląskich ujęte są świetnie, świadczą o ogromnym talencie pisarskim Kosak-Szczuckiej. Walkę dwuch kierunków, ożywionych jedną ideą, dobra i wielkości Śląska i Polski, uosobionych w Konradzie i obydwu Henrykach, uważać musimy za najlepszą część powieści, świadczącą chlubnie o wielkości pisarskiej Szczuckiej.

Jak lud i mniej znaczne rycerstwo naogół potraktowane zostały pobieżnie — tak Dwór z całem swem życiem opisany jest barwnie, żywo, wyczerpująco, przemyślnie do najdrobniejszego szczegółu. Narady, uczty, zabawy, fraucymer, służba, gród, mieszczaństwo — wszystko to odtworzyła autorka świetnie.

Silne napięcie wywołują tragiczne rozmowy między Jadwigą a Henrykiem, Jadwigą a synem, kiedy bunt Konrada stał się pewnością. Wspaniały i groźny jest moment popłochu, gdy mongołowie byli blisko grodu.

Naprawdę szczerze żałować należy, że cały Śląsk, ze swą przyrodą i ludnością, nie doczekał się takiego ujęcia przez autorkę. Miałby Śląsk przepyszną epopeję—a literatura polska prawdziwy klejnot powieści. Mimo tych braków — a raczej niedociągnięć — „Legnickie Pole“ stanowi wydarzenie w bieżącym sezonie wydawniczym, i zapewne najlepszą powieść tego roku.

Lubliniec, G/Śl. ALFRED JESIONOWSKI

HUTERSKI

NOWELA

(Dokończenie)

I RZECZYWIŚCIE, „zrobił mu śmierć“ któregoś dnia lipcowego, w pełnem słońcu, w upalne południe.

Bydło właśnie wracało z pastwiska, siwy tuman pyłu zbliżał się do bramy podwórza. Ktoś przyleciał do dworu, krzycząc zdaleka:

— Gdzie pan? Huterskiego byk zatratował! Już będzie po nim! Już on wieczora nie dożyje!...

Biegli wszyscy, kto żyw we dworze: parobcy i dziewczęta od krów i sam ekonom. Pomódz nikt mu już nie pomoże, ale zobaczyć — każdy ciekaw. Kilku ludzi pochyliło się nad Huterskim: leżał z otwartemi oczyma, rozkrzyżowany na kupie kamieni, tuż przy głównej drodze, na którą wpędzał był krowy. Buhaj dosłowie przypiął go rogami do ziemi. Jak to się stało — dlaczego? — nikt nie widział. Rozeźlił się byk i tyle. Taki djabeł!

Jakiś chłopak, usiłując podsunąć pastuchowi rękę pod plecy, pytał głosem zdyszanym:

— Huterski? Co wam? Umierać chcecie tutaj? Huterski!

Stary uniósł głowę, potem jedyną ręką przesunął po kamieniach, szukając oparcia. Chcieli go dźwignąć z ziemi i nieść do domu. Potrząsnął głową:

— Nie trzeba... sam pójdę...

Poszedł wolno, wsparty na ramieniu któregoś z fornali. Trzymał się prosto i twarz miał spokojną, choć przemykały po niej, co chwila, popielate cienie. Klatka piersiowa, przebita głęboko, zgnieciona, musiała sprawiać mu przy każdym kroku piekielny ból. Ale nie skarżył się, nie jęczał. Przekraczając próg swego mieszkania, mruknął z przyzwyczajenia:

— Niech będzie pochwalony...

Przyjechał doktór z miasteczka, a w parę godzin potem — ksiądz. Doktór nie miał wielkiej nadziei, powiedział tylko, że organizm żelazny, więc może się stary wyliże. O ile, naturalnie, nie wywiąże się z tego gangrena. Zalecił jakieś okłady, przepisał jakieś proszki i kazał leżeć bez ruchu. Na odjezdnem zapytał jeszcze:

— Boli was bardzo?

Huterski potrząsnął głową, że nie. Jak maszyna rękę chwyciła, bolało więcej. Tylko, że tamto było co innego, a to... Wiadomo, śmierć. Chociaż i nie tak bardzo boli, a swego nie daruje.

Mimo usilnych próśb, nalegań, — nie chciał położyć się do łóżka. Siedział pod oknem, przy stole sosnowym, czyściutko wymytym, bo Huterska zawsze dbała o porządek w mieszkaniu. Na kompresy i proszki patrzył pobłażliwie, choć nieco drwiąco:

— Albo mi to pomoże? Mówiłem: zabije mię ten Tuzik. I zabił.

A potem zaczął mówić, mówić — i ciągle o Tuziku. Jaki on był, gdy go przywieźli — i jaki potem. I że gdyby nie te ścierwy, fornale...

— Nie gadajcie tyle, ojcze... — odezwał się ktoś z pośród odwiedzających, których pełno było przy chorym, aż do północy, — Nie gadajcie, a to jeszcze poszkodzi wam...

— Już mi nic nie poszkodzi, — odrzekł łagodnie i znowu opowiadał, opowiadał bez przerwy. Jakgdyby, czując swój bliski koniec, chciał przez ten krótki czas przejść całe długie życie nawspak,

od ostatniego dnia, do tych lat minionych, które oddawna spoczywały w mgle niepamięci.

Teraz mówił o starych dziejach, prastarych, o tych, których żaden z jego słuchaczy pamiętać nie mógł. Imiona całych krowich pokoleń splatały się z litanją zdarzeń, niekiedy bardzo drobnych, prawie nic nie znaczących, niekiedy ważnych i sercu szczególnie drogich. Było i o pierwszej żonie, którą Huterski bardzo kochał, — jak chodził do niej i chodził cały rok, zanim swoje szczęście wyprosił. Było o wypadku z maszyną i o wujku powstańcu.. Aż dziw, że o nim także, boć przecie tego dnia Huterski wódki nie wziął do ust ani kropli.

Pod wieczór rana zaczęła więcej dolegać, a całe piersi i plecy sinieć. Pastuch skarżył się na brak tchu, mówił już z trudem i powoli. Coraz częściej wpadał w milczenie, coraz mocniej grało mu w płucach. Ale i teraz nie dał się położyć do łóżka, nie pozwolił, by go z miejsca ruszono. O północy zamilkł zupełnie, jeszcze tylko parę razy szepnął, kiwając głową, jakgdyby ze zdziwieniem:

— Ach Tuzik ty, Tuzik...

Potem odwrócił głowę ku oknu i patrzył przez małe szybki, patrzył sobie uważnie. Noc trwała krótko, jakby jej prawie nie było. Ledwie piękny, tylobarwny świat pogrążył się w ciemności na dobre, już pierwszy brzask pojawił się na wschodzie. Przed samym świtem, zanim różowa jasność ogarnęła niebo, ścieląc słońcu królewski kobierzec — Huterski nagle opuścił głowę nisko na piersi.

Umarł.

— — — — — — — — — — — —

Tu się urywa opowieść o Huterskim. Historja zwykła, jak tysiąc innych. Żył, — długo wprawdzie, ogromnie długo, nawet zadziwiająco długo, — lecz w końcu i jego śmierć dosięgła.

Że jednak życie nie może ani na chwilę stanąć w miejscu, więc tego ranka, podczas gdy Huterska z pomocą kilku sąsiadek myła nieboszczyka i przystrajała odświętnie, — wygnał krowy na paszę nowy pastuch, Klim. Jak zwykle, jak co dnia, po skończonym udoju ruszyły wolno poprzez błotnisty majdan, poprzez bramę dziedzińca: Jaryna, Fatma, Harbielka z krzywym rogiem, Kalina, która najbardziej „bije się“ — i wszystkie inne.

Kroczyły wolno, majestatycznie, poważne i obojętne. Ciepły powiew zalatywał od pól, jeszcze skąpanych w rosie, gzy jeszcze nie dokuczały o tej godzinie, w szarawej barwie nieba na horyzoncie— czaiła się zapowiedź upału. I tak, jak codzień, zdążając na pastwisko, przystanęła jedna i druga krowa, by uszczknąć nieco trawy przy drodze, a nowy pastuch, Klim zaganiał je w szeregi i wołał:

— Nuże, stupaj, ty Rożka! Kudy leziesz, durnaja!

I nawołując tak, wymachiwał biczyskiem nad oporną i ociągającą się Wiśniochą, czy Okaryną.

Jednakże dzień ten nie minął tak spokojnie, jak inne. O niezwykłej godzinie, (daleko jeszcze było do południa), powstało na podwórzu zamieszanie, ruch, bieganina. Fornale wracali z pola na wyprzódki, rzuciwszy swoją robotę. Jak błyskawica rozeszła się wieść, że krowy na koniczynie „powzdymało“. Śpieszył, kto żyw, każdy w trwodze o swoją żywicielkę... Niebawem cichy i senny o tej porze dziedziniec stał się terenem niepowszedniego widowiska:

Brak doświadczenia, czy proste niedbalstwo Klima sprawiło, że krowy istotnie wzdęły się — i to wszystkie, wszyściutkie, co do sztuki. Objadły się widocznie mokrej od rosy koniczyny nazbyt żarłocznie, lub nie zostały w porę spędzone stamtąd, dość, że całe stado wróciło w opłakanym stanie. We wszystkich kierunkach galopowały przerażone i półprzytomne krowy z rozdętemi bokami, z powrósłami słomy, którą im pakowano do pysków i wiązano na wierzchu głowy w fantastyczne kokardy. Towarzyszył temu pisk dzieci, przekleństwa starszych i tupot wielki, bo każdy, kto miał choć trochę władzy w nogach, pędzał krowy, aby w miejscu nie stały. Cały ten harmider wywabił zapłakaną Huterską przed dom.

Przysłoniwszy oczy dłonią od słońca i widząc, co się dzieje, zaczęła krzyczeć rozdzierającym głosem:

— O mój *hospodare* najmilszy! O Jasiu, wstań, popatrz, co się bez ciebie wyrabia! Toż twoje krowy, Jasiu, toż twoje krowy! Jak ty ich nie dopatrzysz, kto ich dopatrzy? O nieszczęsna ja bez ciebie, Jasiu, *hospodare* mój! O nieszczęsna ta godzina, że ciebie nie stało!

Staciwszy resztę sił od wrzasku, padła na ziemię nawpół zemdlona, aż ją sąsiadki z trudem podniosły i zawlokły z powrotem do izby.

Tam, pośrodku — na kilku zestawionych krzesłach — leżał Huterski. Przykryty białem płótnem, oczekiwał na trumnę. Wydawał się większy, niż zazwyczaj i jakby obcy w tem mieszkaniu, które zajmował od niepamiętnych czasów. Muchy spacerowały rojami po całunie, jakieś dziecko chlipało w kącie, pachniał świeżo pieczony (już na stypę) chleb i zawodziła, — pocieszana przez baby — jego własna, trzecia z kolei żona. Za oknem ciągle jeszcze rozlegały się krzyki i słychać było tupot nóg. Sam ekonom, ba, podobno sam dziedzic wdał się w tę sprawę. Bardziej zagrożonym sztukom przebijano bok, aby wypuścić powietrze i zaganiano bydło do obory. Powoli bieganina ustała, wszyscy wrócili do swych codziennych zajęć.

Gdy wreszcie dzwon podwórzowy obwieścił południe, mieszkanie Huterskich zapełniło się ludźmi, jak kościół w wielkie święto. Przyszli także państwo ze dworu, odmówić Anioł Pański przy umarłym.

Po skończonym pacierzu ktoś z domowników odchylił całun. Widzieliśmy wtedy, — po raz ostatni — Huterskiego. Twarz miał spokojną, bardzo spokojną i jasną w zestawieniu z czernią świątecznej odzieży. Pusty rękaw leżał równiutko wzdłuż ciała; w prawej dłoni, złożonej na piersiach, tkwił mały święty obrazek. Zmarły wyglądał dostojnie i dziwnie młodo. Śmierć, zamknąwszy mu oczy, przyjazną dłonią wygładziła w jednej sekundzie zmarszczki i brózdy, które na czole i policzkach pół wieku gryzmolił czas.

Mimo stłoczonej ciżby ludzkiej, w izbie panowała tak uroczysta cisza, że słychać było brzęczenie much. Jedna, druga i trzecia siadła na nieruchomej twarzy. Huterski nie podniósł ręki, aby je spędzić. A jednak zdawało się, że widzi wszystko i wszystkich, że jeszcze wszystko czuje i rozumie. Kto wie, — może w tej chwili rozważał sobie dziwy dzisiejszego poranka, — to istne bezkrólewie, jakie zapanowało z chwilą, gdy opuścił tak nagle swe państwo... Powiedział kiedyś, że „Jak Bóg jest nad ludźmi, tak ja jestem nad krowami“. I nawet ten sam uśmiech, z którym to wówczas mówił, zastygł mu teraz koło ust, nazawsze.

Bobra Wielka WANDA MIŁASZEWSKA

NA WIDOWNI

Sprawa Brzeska w prasie sanacyjnej. — Kto winien? — „Sanacja“ nie może się zdecydować.—Zdziwienie radosnej twórczości, że istnieje smutna moralność. — Lud i literaci.

NIE mogę się wyzbyć zawiści w stosunku do dziennikarzy, umiejących obszernie i z wdziękiem pisać na byle temat. Czytam teraz w gazecie urzędowej korespondencję o przejeździe ministra Piłsudskiego przez Wiedeń. Dziennikarz nic nie widział i nic nie słyszał, jeno dowiedział się od służby, że p. minister zażądał kawy. Cóż może być krótszego: kawy! A jednak autor poświęcił temu zdarzeniu 28 wierszy. Oto jedno zdanie:

„Tak więc Budowniczy Polski, dojechawszy do oswobodzonego ongiś przez króla Jana Sobieskiego Wiednia, zainteresował się żywo trunkiem, sporządzonym w tem mieście jak wiadomo po odsieczy wiedeńskiej z roku 1683-go poraz pierwszy przez polaka, Jana Kulczyckiego, który nauczył wiedeńczyków sporządzania kawy, przebywając długie lata w Turcji i który w stolicy naddunajskiej założył pierwszą kawiarnię“ („Gaz. Pol.“, nr. 349).

Jaka przytem wiedza historyczna! Gdyby taki dziennikarz mógł asystować przy każdym posiłku, mielibyśmy całą encyklopedję dziejów kultury kulinarnej. Piwa! Czytalibyśmy aktualny wykład o warzeniu piwa.

„Czas“ krakowski, pełniący w „sanacji“ rolę szlachcica zapraszanego na wesela, pija chętnie każde piwo, ale wypadku brzeskiego przełknąć nie może.

„Jest to“—czytamy w nr. 291—„jeden z najszkodliwszych i najboleśniejszych epizodów w dziejach wskrzeszonego państwa polskiego, nieustępujący w niczem sprawie gen. Zagórskiego, a rozmiarami swemi sprawę tamtą przenoszący. Leży w interesie nas wszystkich, którzy rozumiemy konieczność popierania rządów marsz. Piłsudskiego w obecnej sytuacji — (jako jedynego rządu w tej chwili w Polsce możliwego) — aby ten bolesny, groźny i szkodliwy epizod zakończył się wyświetleniem prawdy i ewentualnie ukaraniem winnych“.

Ten nawias jest kapitalny, bo tak wygląda, jakby dla „Czasu“ wogóle jaki rząd był niemożliwy. Z drugiego krańca „sanacji“ radykalny „Przedświt“ wtóruje:

„Społeczeństwo nie wątpi ani na chwilę, że już zarządzona została i podjęta z całą energją akcja, zmierzająca do całkowitego i bezwzględnego wyświetlenia prawdy. Sytuacja jest wyjątkowo jasna. Podane zostały konkretne fakty — takie, jakich cywilizowany naród tolerować nie może, jakie cywilizowane państwo, jeśli nastąpiły, musi bez pardonu wypalić“.

Naogół nie trudno spostrzec, że sprawy omawiane wytworzyły w kraju wyjątkowy stan umysłów, z którym niepodobna się nie liczyć. Coś się musi stać, bo dalej w tej atmosferze oddychać trudno. Opinja publiczna miała jakiś czas wrażenie, że sprawa potoczy się w kierunku bodaj najłatwiejszym, mianowicie zepchnięta będzie na poziom nadużyć ze strony niższych funkcjonarjuszy i władz wykonawczych. Tymczasem ku zdumieniu i zaciekawieniu ogólnemu następuje akcja solidaryzowania się rządu z tem, co zaszło. Organ urzędowy „Gazeta Polska“ (nr. 347)zdaje się zaprzeczać już faktom, a nawet pomawia o zdradę stanu tych, którzy głośno się skarżą:

„Mamy do czynienia z wyraźną zdradą stanu, z podkopywaniem się pod powagę rządu, a jednocześnie pod przyszłość i obecną sytuację państwa. Tego nie można puszczać płazem lub czekać na opamiętanie się tych, co nie chcieli opamiętać się w ciągu lat dziesięciu. Dla kłamców i oszczerców względem własnej ojczyzny, w ojczyźnie tej niema miejsc. Chyba w murach więziennych“.

Postęp w publicystyce jest ogromny. Gdzieżby dawniej ktoś zdobył się w Polsce na taką piękną lokucję o więzieniu! Ogłoszony w tymże dzienniku (nr. 349) list inspektora armji, gen. dyw. Dąba Biernackiego do pułk. Kostki-Biernackiego, zaczynający się od słów: „Kochany Kolego“, zdaje się znów stwierdzać to, co pomimo wszystko jest rzeczywistością, że rząd nie cofa się od brania całej odpowiedzialności na siebie. W tem tylko świetle rozumieć można, jak to już prasa zaznaczyła, mianowanie ministrem sprawiedliwości prok. Michałowskiego, który areszty zarządził, oraz powołanie przez klub B.B. na przewodniczącego komisji prawniczej (rozpoznającej sprawę Brześcia) p. Cara, b. ministra sprawiedliwości, za którego urzędowania fakt cały się zdarzył.

Z drugiej strony sanacyjny „Przełom”, pochwalający koncepcję Brześcia ze stanowiska celowości politycznej, gdy chodziło „o osiągnięcie zdobyczy tak doniosłego dla Państwa znaczenia, jaka jest wytworzenie w parlamencie stałej i jednolitej większości”, użala się na wykonawców, tylko na nich i na nich zrzuca odpowiedzialność. Według „Przełomu” (nr. 50/51), gdyby oskarżenia co do Brześcia

„choć w części okazały się prawdziwe, winni nadużycia władzy, winni poniżenia godności Polski w opinji świata cywilizowanego i podrywania moralnych podstaw życia społecznego — a tem wszystkiem są niewątpliwie metody, stosowane, według interpelantów, wobec byłych posłów, więźniów brzeskich — muszą ponieść przykładną, najsurowszą, najbezwzględniejszą karę.

Rząd nie może więc milczeć w tej sprawie. Zachowanie przez rząd zimnej krwi, spokoju i równowagi ducha jest w danym wypadku niewystarczające. Chodzi o Ideę Państwa, chodzi o imię Polski w świecie, chodzi o honor armji, w który interpelacje opozycyjne godzą zupełnie wyraźnie. Rząd powinien zabrać głos — tembardziej, że niestety zasiada w nim p. prok. Michałowski — i albo zarzuty, zawarte w interpelacjach opozycji, odeprzeć, oszczerstwo napiętnować i winnych szerzenia wieści kłamliwych, szkalujących oficera polskiego, wywołujących wzburzenie w społeczeństwie, pociągnąć do odpowiedzialności, albo też — po zbadaniu sprawy — dosięgnąć twardą ręką tych, którzy się nadużycia władzy mieli dopuścić. W tym ostatnim wypadku p. minister Michałowski winienby się podać bezzwłocznie do dymisji — nie może bowiem być stroną i sędzią“.

Jaką drogę wybierze rząd z pośród tych sprzecznych wskazań swoich przyjaciół, to jego rzecz. To pewna jednak, że społeczeństwo polskie nie zmieni swoich zasad moralnych dla dogodności czyjejkolwiek.

Całe społeczeństwo wypowiedziało się już w tej sprawie: uczeni (uniwersytet krakowski), kobiety obozu narodowego (odezwa ze 100.000 podpisów), lud śląski, witając Korfantego, publicyści wszystkich obozów, milczy literatura sanacyjna. A ciekawy byłby głos natchnionego romantyka piłsudczyzny, Sieroszewskiego. Na razie literaci sanacyjni o niczem nie wiedzą. Siedzą przy korytku i dysponują nagrodami konkursowemi z funduszów publicznych. Oto czytamy w „Gazecie Polskiej”, że ogłoszono konkurs na marsza uroczystego ku czci Piłsudskiego i na jakiś rysunek portretowy. Sąd tworzą literaci: Kaden Bandrowski, Parandowski, Morstin, Tuwim i in. merkantyliści.

A jakiż to był hałas przed paru laty w sprawie tak odległej, jak anarchistów Sacco i Vanzetti w Ameryce! Wielki był też jęk i krzyk humanitarnych literatów z powodu Studzieńca. A teraz cicho.

Oto obrazek naszych czasów.

ZYGMUNT WASILEWSKI

SPRAWA BRZEŚCIA

DOKUMENTY

SPRAWA posłów uwięzionych we wrześniu i osadzonych w Brześciu, tak bardzo niepokojąca Sumienie polskie, znana jest z dzienników. W ostatnich dniach ogłoszono w dziennikach następujące enuncjacje:

1.

Na drugiem posiedzeniu Sejmu w dn. 11 grudnia Klub Narodowy wzniósł następujący wniosek nagły:

Wysoki Sejm uchwalić raczy:

Wzywa się rząd, aby pociągnął do odpowiedzialności karnej za nadużycie władzy przedstawicieli władz administracyjnyc , prokuratorskich i sądowych, oraz oficerów i podoficerów służby wojskowej, którzy uczestniczyli w aresztowaniu i umieszczeniu w więzieniu wojskowem i znęcaniu się nad aresztowanymi b. posłami w więzieniu wojskowem w Brześciu nad Bugiem.

Uzasadnienie.

I. Aresztowanie szeregu osób bez nakazu sądu w porze nocnej i we własnych mieszkaniach oraz wywiezienie poza stałe miejsce zamieszkania do twierdzy w Brześciu jest jaskrawo sprzeczne z obowiązującemi przepisami kodeksu postępowania karnego. Znalazło to swój wyraz we wnioskach prawników bezpośrednio po zaaresztowaniu. Taki tryb postępowania, stanowczo sprzeczny ze zwykłym trybem, stosowanym nawet do przestępców, oskarżonych o przestępstwa pospolite, był nie tylko nielegalny, lecz nawet do zwyczajowych norm nie podobny.

II. Nieprawne było również osadzenie zaaresztowanych w więzieniu wojskowem w twierdzy w Brześciu. Wszyscy zaaresztowani są osobami cywilnemi, nie mającemi nic wspólnego z wojskowością; pociągnięcie do odpowiedzialności karnej było zarządzone przez władze cywilne, przeto bez jawnego i oczywistego pogwałcenia ustawy nie mogły być osadzone w innem więzieniu, jak tylko w cywilnem. Wynika to wyraźnie z następujących ustaw i przepisów:

a) Rozp. Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 7.3 1928 r. Dz. U. 29/28, poz. 272. Art. i tego rozporządzenia mówi: „Więzienia wszelkiego rodzaju podlegają ministrowi sprawiedliwości. Przepisu niniejszego prawa nie stosuje się do... więzień i aresztów wojskowych“. Art. 2 mówi: „Więzienia są przeznaczone: a) do wykonania kar... (więźniowie karni), b) do pomieszczenia osób tymczasowo aresztowanych lub zatrzymanych pod zarzutem popełnienia przestępstwa (więźniowie śledczy). Wynika z tego, że więzień śledczy cywilny może być zatrzymany jedynie w więzieniu, podlegającem przytoczonemu rozporządzeniu, a więc w więzieniu cywilnem, podlegającem ministrowi sprawiedliwości, w żadnym razie nie w więzieniu wojskowem. Potwierdza tę zasadę art. 3 cytowanego rozporządzenia, według którego: „Na mocy rozporządzeń lub zarządzeń ministra sprawiedliwości więzienia mogą służyć także b) do pomieszczenia więźniów wojskowych, w wypadkach, nie objętych art. 2 p. a., na skutek wniosku wojskowych“. Wynika z art. 3 zatem, że w pewnych wypadkach wojskowi mogą przebywać w więzieniu cywilnem, ale odwrotnej zasady ustawa ta nie zna.

b) Rozp. ministra sprawiedliwości z dn. 22.4 1928 r. Dz. U. 64/28, poz. 591 o wykonaniu rozp. Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 7.3 1928 r. w sprawie organizacji więziennictwa. Rozporządzenie to znowu obejmuje wszystkie więzienia, przeznaczone dla osób cywilnych, podlegających sądownictwu cywilnemu. Stwierdza ono, że naczelnicy więzień podlegają ministrowi sprawiedliwości (art. 2), że nadzór penitencjarny obejmujący w szczególności prawo czuwania nad legalnością uwięzienia i wykonania kary, względnie aresztu zapobiegawczego, służy ministrowi sprawiedliwości, dyrektorowi departamentu karnego, specjalnym delegatom ministra i władzom prokuratorskim (art. 5 i in.).

Wynika z tych obu rozporządzeń z oczywistością, nie dającą się zakwestjonować żadnemi rozumowaniami lub interpretacjami, że więzień cywilny, podlegający sądom cywilnym, może być przetrzymywany tylko w więzieniu, o którem mówią cytowane rozporządzenia, które podlega ministrowi sprawiedliwości, którego naczelnicy znajdują się w stosunku służbowym do ministerstwa sprawiedliwości, nad którem nieograniczony, od żadnych innych czynników nieuzależniony, przez ustawę ustanowiony i zapewniony nadzór posiadają władze cywilne, a mianowicie ministerstwo sprawiedliwości i urzędy prokuratorskie.

Więzienie w Brześciu nad Bugiem, w którem osadzeni zostali aresztowani, jest więzieniem wojskowem, podlegającem władzom wojskowym, naczelnikiem tego więzienia był specjalnie do tego delegowany oficer służby czynnej wojskowej, nadzór nad więzieniem sprawowała żandarmerja wojskowa, ministerstwo zaś sprawiedliwości i urząd prokuratorski nie posiadały nad niem nadzoru, oczywiście i dlatego, że władza cywilna nie może nadzorować i uzależniać od siebie władzy wojskowej.

c) Tymczasowy wojskowy regulamin więzienny i instrukcja dla personelu więzień karnych i więzień śledczych, zatwierdzona rozkazem ministra spraw wojskowych z dnia 29.10.1919 r. L. 4996/19. Art. i tego regulaminu brzmi: „Więzienia wojskowe służą dla przetrzymania osób, podlegających sądownictwu wojskowemu“, przeto osoby cywilne, podlegające sądom cywilnym, w myśl tego artykułu w więzieniach wojskowych przetrzymane być nie mogą. Jeżeli art. 40 tego regulaminu mówi o osobach cywilnych, pozostających w czasowem przetrzymaniu względnie areszcie śledczym, to dotyczyć to może, w myśl art. 1, tylko osób cywilnych podlegających sądownictwu wojskowemu. Takiemi osobami są osoby cywilne, wymienione w art. 155 dawnego kodeksu wojskowego oraz osoby, podlegające podczas wojny sądom wojskowym za zbrodnię zdrady stanu lub szpiegostwa.

III. System najzupełniejszej izolacji więźniów od świata zewnętrznego, a przedewszystkiem od rodzin i obrońców był rażący i nigdy i nigdzie w innych wypadkach nie stosowany. W pierwszym okresie zaaresztowania prowadzący śledztwo wstępne sędzia śledczy może uznać za konieczne niedopuszczenie aresztowanego do komunikowania się z rodziną lub z obrońcą. Trwa to jednak w normalnych wypadkach bardzo niedługo i oczywiście nie pozbawia aresztowanego możności dowiedzenia się, co się dzieje z jego rodziną, ani rodzinie dowiedzenia się o nim, nie wykreśla go to, jak w danym wydadku, z liczby ludzi, korzystających z elementarnych uprawnień. Daleko łagodniejsze postępowanie było w normalnym trybie rzeczy zawsze i powinno zawsze być stosowane względem więźniów, którzy nie są oskarżeni o przestępstwa pospolite, lecz którym, jak w danym wypadku, imputowano przestępstwo polityczne. Owa niesłychana w swoim rozmiarze i po raz pierwszy w dziejach sądownictwa polskiego spotykana absolutna izolacja, tak ciężka i tak długotrwała, jest niewątpliwie przejawem nie celowych zarządzeń władzy sądowej, lecz wynikiem swoistej walki politycznej.

IV. Więzienie w Brześciu było dla uwięzionych, przeciw którym do dziś dnia jakiekolwiek uchwytne oskarżenie nie jest znane, kaźnią bezprzykładną w prawidłowem więziennictwie. Więźniowie nietylko byli nękani i głodzeni, ale bici przez oficerów i podoficerów, lub wręcz katowani, a nawet pozbawieni pociechy religijnej, gdy się jej domagano. W świetle grozą przejmujących wiadomości, któte dzisiaj już są zebrane szczegółowo, o znęcaniu się nad poszczególnymi

uwięzionymi, przedstawia się więzienie w Brześciu jako straszliwa hańba współczesnego życia polskiego, od której musi się odciąć wszystko, co jest zdrowem i uczciwem w społeczeństwie. Jest to sprawa rządu w Polsce i sposobu używania przezeń władzy, którą ma w ręku, jego stosunku od obowiązujących w państwie polskiem praw, sprawa sędziów i prokuratorów, ich sumienia i ich szacunku dla prawa, sprawa czci munduru, noszonego przez wojsko polskie, sprawa naszego oblicza narodowego wobec świata, wreszcie sprawa całej naszej cywilizacji.

W n i o s k o d a w c y.

Warszawa, dn. 9 grudnia 1930 r.

2

Na trzecim posiedzeniu Sejmu w d. 16 grudnia stronnictwa lewicowe zgłosiły interpelację, która głosi m. in.:

„Aresztowanych w ten niezwykły sposób policja państwowa i żandrmerja wojskowa w zamkniętych karetkach uwiozła w niewiadomym dla nich kierunku. Cała droga odbywała się wśród przezwisk i pogróżek pod adresem aresztowanych. Aresztowanego dr. H. Liebermana, w drodze poza Siedlcami, asystujące władze policyjne i żandarmerja zbiły do nieprzytomności. W pewnym momencie eskortujący komisarz P. P. zatrzymał auto, nakazał dr. Liebermanowi wysiąść z niego, a po chwili żandarm wojskowy rozkazał udać mu się do lasu, gdzie czekać miał na niego komisarz P. P. Dr. Lieberman, podejrzewając w tem zasadzkę, iść nie chciał, mimo to został tam zagnany kolbami żandarmów. Gdy stanął w lesie przed komisarzem P. P. ten ze słowami: „Dlaczego, drabie nie idziesz, gdzie cię wołam“, uderzył go dwa razy w kark, nadwyrężając ścięgno. Pod temi razami dr. Lieberman padł na ziemię, a wówczas własnym jego płaszczem owinięto mu głowę, na której jeden z eskortujących usiadł, zdarto z niego ubranie i wśród wyzwisk: „Ty żydzie, ty parchu ty śmiesz oskarżać Czechowicza, ty śmiesz podnosić głos przeciwko Panu Marszałkowi“, zbito go do nieprzytomności, zadając mu przeszło 20 krwawych ran, które później jeszcze stwierdził na jego ciele siedzący z nim w celi współaresztowany p. Karol Popiel.

Aresztowani w nieznany dotąd w sądownictwie sposób zostali zupełnie odcięci od świata i nie zezwolono im nietylko na komunikowanie się z ich obrońcami, lecz również z najbliższymi członkami rodzin, jakkolwiek, czując się bliskimi śmierci, prosili o to zarówno dr. Lieberman, jak i p. Korfanty.

„Do aresztowanych zastosowano zaostrzony regulamin wojskowy, nie stosowany nawet do dezerterów“.

„Niesłychanie ostre przepisy regulaminowe, które bezprawnie zastosowano wobec aresztowanych osób cywilnych, w praktyce zaostrzone zostały przez sprawujących nadzór wiezienny oficerów i żandarmów W. P.“.

„Do ludzi, zajmujących wysokie stanowiska w społeczeństwie polskiem, zarówno żandarmi, jak i oficerowie odzywali się z reguły przez „ty“, obrzucali ich najordynarniejszemi wyzwiskami i używali do najbardziej ciężkich i ordynarnych robót“.

Wyliczając niektórych więźniów interpelanci twierdzą, że „używani byli do czyszczenia szmatą lub krótką miotełką, więc prawie gołemi rękami ustępów, do mycia podłóg i korytarzy pod nadzorem żołnierzy do tego stopnia, że nieprzyzwyczajeni do tych robót omdlewali wprost ze znużenia. Dr. Lieberman przy tego rodzaju pracy dostał silnego ataku sercowego i dopiero przy pomocy swego współtowarzysza niedoli, p. Witosa, został z powrotem odprowadzony do celi“.

„Aresztowanym odmówiono kąpieli, a tylko wyjątkowo, za poprzedniem zgłoszeniem się do raportu, zezwolono na mycie nóg“.

„Do dnia 9 listopada 1930 r. aresztowani otrzymywali wikt, który obliczony był na specjalne ich głodzenie i nie odpowiadał ani żadnemu w tej mierze przepisowi, ani dotychczasowym zwyczajom. Sędzia śledczy odmawiał rodzinom prawa dostarczania żywności, motywując swoją odmowę tem, że porcje żywnościowe, otrzymywane przez więźniów, są wystarczające“.

„Za lada przestępstwo regulaminu więziennego, lub jakiekolwiekbądź uchybienie wobec personelu nadzorczego, stosowane były wobec aresztowanych nieludzkie kary dyscyplinarne. Ciemnica, do której wrzucano poszczególnych aresztowanych w odosobnieniu, nie dając im nawet kubła dla spełnienia naturalnych potrzeb, twarde łoże, które polegało na tem, że usuwano sienniki i pozostawiano tylko rozłożone w pewnej odległości od siebie drewniane okrajki, wreszcie post, w czasie którego podawano jedynie trochę chleba i ciepłą osoloną wodę. Mniej więcej raz na tydzień stosowano wobec aresztowanych stałe rewizje, jakkolwiek nie mieli oni możności ani komunikowania się między sobą, ani ze światem zewnętrznym“.

„Rewizje te, stosowane w nocy, były tylko jednym ze sposobów łamania ducha i fizycznego znęcania się nad aresztowanymi. Do rewizji aresztowani wyprowadzani byli ze swych cel do osobnej ubikacji półciemnej, rozbierali się do naga i musieli stać bosemi nogami na zimnej posadzce, przyczem byli traktowani w urągliwy sposób przez rewidujących strażników“.

„Najstraszniejszem jednak ze wszystkiego było wyrafinowane znęcanie się fizyczne i moralne nad aresztowanymi. W nocy z dn. 9 na 10 października 1930 r. klucznik wyprowadził p. Karola Popiela do kancelarji, za którą znajdowała się ciemna, pusta sala. W drzwiach stał kapitan dep. uzbrojenia M. S. Wojsk. Gdy p. Popiel, na rozkaz kapitana, wszedł na próg ciemnego pokoju, porwany został przez kilka rąk. Jeden żandarm chwycił go za głowę, drugi za nogi pod kolana i w ten sposób rzucono go na stołek. Na krzyże narzucono mu mokrą płachtę, a gdy krzyknął „bójcie się Boga“, otrzymał pierwsze uderzenie jakiemś żelaznem narzędziem, prawdopodobnie stemplem od karabina i usłyszał głos: „To za Sikorskiego, to za Żymierskiego“. Uderzeń takich otrzymał p. Popiel conajmniej trzydzieści. W trakcie bicia zemdlał. Towarzyszący tej egzekucji kapitan odezwał się do skatowanego: „Cieszyć się, że tak mało, następnym razem marszałek Piłsudski każe kulą w łeb“. Skatowanego p. Popiela, podając z rąk do rąk, sprowadzono z kilkunastu stopni do celi piwnicznej, gdzie został przetrzymany przez kilka dni. Egzekucji nad p. Popielem towarzyszył kapitan Mieczysław Kędzierski. Do celi, do której został p. Popiel wtrącony po pobiciu, wchodził ponadto mjr. Edward Gorczyński z dawnych drużyn strzeleckich. W podobny sposób pobici zostali pp. Bagiński i Korfanty, poszturchany ponadto przez żandarma został dr. Putek i Barlicki, obity w barbarzyński sposób po twarzy został p. Kohut i inni. Wyliczenia te nie wyczerpują jednak wszystkich ofiar barbarzyńskiego postępowania wojskowego personelu strażniczego. Podczas stosowania bicia z reguły puszczano w ruch motor dla wyciągu wody, aby jego warkotem stłumić jęki katowanych ofiar“.

„Obok tych fizycznych tortur przechodzili aresztowani cięższe bodaj jeszcze tortury duchowe. Odcięci zupełnie od świata, nie wiedząc, co się dzieje w kraju, o co ich oskarża się i jaki los może ich czekać, aresztowani pozostawali pod ustawiczną grozą śmierci. Wobec dr. Pragiera płk. Biernacki oświadczył wprost: „Pan obraziłeś mojego przełożonego, tak, jakbyś pan obraził mnie samego, mógłbym pana kazać tu pod ścianą rozstrzelać i niktby ani słowa nie powiedział!“. W ten sam sposób wyrażał się płk. Biernacki wobec dr. Liebermana, twierdząc: „że wszyscy aresztowani zależą od rozkazu marszałka Piłsudskiego i tylko rozkaz marszałka Piłsudskiego rozstrzygać będzie o ich losie“. Jeden zaś z oficerów, nieznany z nazwiska, oświadczył wobec Liebermana: „Los aresztowanych zależy wyłącznie od decyzji marszałka

Piłsudskiego, gdy on każe ich zabić, to oni ich zabiją, gdy każe ich okaleczyć, to ich okaleczą". P. Barlickiemu oświadczył płk. Biernacki: „Pan tak zelżył marszałka Piłsudskiego, ze pan nie ma co liczyć na sądy, prawo jest prawem wprawdzie, ale pan zelżył marszałka zanadto".

Aby świadomość tej groźby podtrzymać w uwięzionych, inscenizowano od czasu do czasu fikcyjnę egzekucje. I tak w pierwszych dniach października 1930 r. do celi, w której siedział dr. Lieberman i p. Popiel, wszedł oficer i wydając rozkaz: „Ubrać płaszcze", kazał im pójść za sobą. Na zapytanie p. Popiela, czy może zabrać ze sobą chleb, oficer odpowiedział: „Nie będzie wam już nic więcej potrzeba", przyczem wykonał odpowiedni ruch ręką. Obaj więźniowie przeprowadzeni byli do celi na dole, w której odbywały się normalne rewizje. Cela była pusta, siennik z łóżka wyjęty, na podłodze rozrzucona słoma. Wprowadzeni tam dr. Lieberman i p. Popiel byli przekonani, że czekają na wykonanie na nich egzekucji. Po chwili usłyszeli w sąsiedniej celi ruch i kroki, a potem donośny głos: „Odwrócić się do ściany" i dwukrotny suchy trzask, jakby dwa wystrzały. W najwyższem przedśmiertnem zdenerwowaniu czekali teraz na swą kolej. Po upływie dość długiego czasu, w powolny sposób zaczęto otwierać im celę, do której weszły trzy osoby z oficerem. Znowu zabrzmiał głos: „odwrócić się do ściany", byli przeto przekonani, że nastąpią strzały. Skończyło się tylko na rewizji".

„Do stosowania tych tortur lub dozorowania nad ich stosowaniem używani byli oficerowie wojsk polskich, którzy w tym celu specjalnie odkomenderowani byli ze swych oddziałów do Brześcia n/B. W ten sposób odkomenderowani zostali:

1) płk. Kostek-Biernacki, d-ca 38 p. p. z Przemyśla,
2) płk. Ryszanek z wyższej szkoły wojennej,
3) mjr. Edward Gorczyński ze służby łączności,
4) mjr. sap. Stanisław Perko, zastępca komendanta szkoły oficerów rezerwy w Modlinie,
5) kpt. Majta z 20 pułku artylerji polowej,
6) kpt. Mieczysław Kędzierski z departamentu uzbrojenia min. spraw wojsk."

„Przez powyżej opisane bezprawne uwięzienia aresztowanych, przez poddanie ich bezprawnie, jako osób cywilnych, pod dyscyplinę wojskową i zatrzymanie sprzeczne z prawem w więzieniu wojskowem, przez opisane powyżej traktowanie ich w tem więzieniu i nieludzkie znęcanie się nad nimi, wreszcie przez użycie do tego oficerów armji polskiej— naruszone zostało przez ówczesny rząd nietylko obowiązujące prawo, lecz zdeptany został honor i godność państwa i narodu polskiego".

„1) Co pan premier zamierza uczynić, aby winnych pociągnąć do odpowiedzialności i wymierzyć im zasłużoną karę?

2) Jakie kroki zamierza przedsięwziąć, aby na przyszłość uniknąć podobnego pogwałcenia prawa wobec obywateli państwa?".

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

W Krakowie ma centralę istniejące od lat kilku Polskie Towarzystwo Językoznawcze, jedno z najczynniejszych i najżywotniejszych polskich towarzystw naukowych. Prezesem jego jest znakomity uczony, prof. Jan Rozwadowski; członków zaś obecnie Towarzystwo liczy 60-ciu— niestety ostatniemi czasy zabrakło pomiędzy nimi tak znakomitych uczonych, jak Andrzej Gawroński, J. Baudouin de Courtenay, Appel, Łoś i Porzeziński... Dowodem żywej działalności Towarzystwa są coroczne zjazdy, które odbyły się kolejno w Krakowie, Lwowie, Poznaniu, Warszawie, oraz liczny udział członków na zeszłorocznym zjeździe filologów słowiańskich w Pradze oraz międzynarodowym Kongresie językoznawców w Hadze. Obecnie czyni się wielkie przygotowania do drugiego zjazdu językoznawców, który odbędzie się 25—29 sierpnia w Genewie, gdzie będą rozważane główne 3 sprawy: 1) kwestja organizacji pracy językoznawczej, 2) rola czynnika spontanicznego i nieświadomego w tworzeniu i rozwoju języków w porównaniu z rolą woli i refleksji (sprawa języków naturalnych i sztucznych), 3) systemy fonologiczne i stosunek ich do ogólnej budowy języków. Polska reprezentacja wystąpi w Genewie nietylko z szeregiem referatów, ale i z nowym tomem swego biuletynu. Świeżo ukazał się II zeszyt owego biuletynu, zawierający prace trzech uczonych — niestety już nieżyjących: Łosia *„De la phrase et du mot"*, Porzezińskiego *„Quelques mots sur les parties du discours"*, B. de Courtenay'a „Zagadnienia pokrewieństwa językowego". Kwestji ostatniej poświęca nieco miejsca i Lehr-Spławiński w referacie z III zjazdu językoznawczego w Warszawie. Sprawozdanie ze zjazdu i nekrologi dopełniają treści zeszytu.

RUCH WYDAWNICZY

Nieszczęsny Piłat, który jakby przez ironję losu znalazł się w Credo, znany jest w Polsce pod „szlacheckiem" i rodzimem nazwiskiem: Poncki; Doskonałe jest to miejsce w „Żywocie Srebrempisanego", gdzie mały Mikołajek wywodzi to nazwisko od — pączków. Prawdziwe jednak *nomen* i *cognomen* rzymskiego prokuratora Judei było Pontius Pilatus i z Pontem nie miało nic wspólnego. Dlatego też Z. Zakrzewska, tłumacząc powieść Maurycego Laurentin'a *„Le roman de Ponce Pilate"*, słusznie dał jej tytuł polski: „Miłość Poncjusza" (nakł. księg. św. Wojciecha). Przekład polski zaopatrzył autor specjalną przedmową, w której mówi nietylko o źródłach (*acta Pilati*, znane św. Justynowi), ale i o charakterze oraz celu powieści. Powodowany pietyzmem dla świętego tekstu Ewangelji, nie pozwolił sobie na przeinaczenie — choćby w jednym wyrazie — przemówień Chrystusa Pana, nie przypisywał mu też „żadnych czynów, któreby nie były potwierdzone przez świadków natchnionych". W parze z tą skrupulatnością poszła—w świeckiej już osnowie— wielka staranność w malowaniu tła historycznego, opartego na gruntownej erudycji historycznej, niekiedy nawet archeologicznej, nie cofnął się autor i przed malowaniem zgnilizny moralnej świata pogańskiego, aby tem silniej uwydatnić świętość nauki Chrystusowej; w tem podobny jest nieco do Sienkiewicza, którego *„Quo vadis"* było dlań niewątpliwie wzorem — choć w treści zbliżył się raczej do „Ben-hura" Lewisa Wallace'a. Centralnym punktem powieści—architektonicznym i myślowym jest rozdział, w którym Piłat rzuca słynne zapytanie: *Quid est veritas?*

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. Jean Martet rozpoczął swą działalność powieściopisarską przez napisanie *„Marion des Neiges"*, która zyskała pochwałe.. Clemenceau. Dzięki niej to książka p. Martet była lepiej lansowana, aniżeli, gdyby jej zalety opiewali sami krytycy. Zachęcony tym rezultatem wydał on potem dwie znacznie słabsze powieści, a mianowicie Gubbiah i Dolorès (Albin Michel édit.). Kiedy wreszcie rok temu, śmierć dramatyczna położyła koniec tej jedynej w swoim dodzaju egzystencji, jaką było pasmo burzliwych dni „Ojca Zwycięstwa", p. Martet, który był przez czas jakiś sekretarzem Clemeceau, wydał raz porazu trzy tomy wspomnień: *„Le Silence de M. Clemenceau"*, *„Le Tigre"*. *„M. Clemenceau peint par lui même"* (Albin Michel édit.). Dużo w nich niewątpliwie ciekawych ustępów; rysy charakteru „Tygrysa" są żywo ujęte. ale może delikatniej byłoby nie poruszać pewnych tematów. Dlatego zresztą jeden z senatorów, a znany z dużej kultury, miał ten ostry sąd wydać o wspomnieniach p. Martet'a. „Clemenceau nie miał racji, gdy Greków przekładał nad Egipcjan, bo przynajmniej sekretarze tych ostatnich byli razem ze swymi panami grzebani!" Być może. że pod wpływem tego rodzaju i podobnych im krytyk, p. Martet w ostatniej swojej powieści *„Azraël"* również u Albin Michela wydanej, zrywa z teraźniejszością i przerzuca się do przeszłości, bo aż do wieku wypraw krzyżowych. Pewien wieśniak normandzki, Geoffroi postanawia za innymi udać się do ziemi świętej. Po wielu perypetjach, Geoffroi, który odznacza się walecznością zostaje nawet przez swego dawnego pana, nazwiskiem Rainart de la Tour, mianowany rycerzem. Jest bowiem przytem jego naturalnym synem. Wówczas w tej nowej swojej godności idzie na podbój bogatego miasta Allahada, zdobywa je i staje się jego królem. Zakochuje się jednak w niewiernej, pięknej muzułmance pod wpływem, której zapiera się nawet swojej wiary. Wówczas dowiaduje się, że jego dawna narzeczona Sybille umiera. Przejęty do głębi tą nowiną, postanawia dla odku-

pienia swych grzechów zrzec się korony i jako pielgrzym udać do miejsc świętych. Wtedy jednak owa „niewierna“ kobieta godzi się na przyjęcie chrześcijańskiej wiary. Geoffroi poślubi więc ją i zapewni ich potomkom tron miasta Allahada. P. Martet zaś niebawem wyda *„La Mort tu Tigre“*...

*

Hernandez-Cata, znakomity humorysta hiszpański wydał tom nowel zatytułowany: *„Los siete pecados“* (Siedem grzechów), gdzie w niezwykle dowcipny sposób przedstawia główne namiętności ludzkie.

*

Z pod pióra znanego autora Ricardo Baeza wyszła książka: *„La Isla de los Santos“* (Wyspa Świętych). Są to wrażenia z podróży po Irlandji, zawierające wizje obrazów historycznych, piękne opisy krajobrazów ciekawej tej wyspy oraz odmalowanie życia i zwyczajów zamieszkującego ją narodu.

*

Niezwykłem powodzeniem cieszy się w Hiszpanji powieść *„La Vida, el Deseo y la Victima“* (Życie, pragnienie i ofiara), której autorem jest Alfonso Vidal y Planas. Styl tej powieści jest pełen emocji, wybitnie obrazowy i porywający.

TEATR

KOMEDJA FRANCUSKA W WARSZAWIE

W TEATRZE Polskim odbyły się w zeszłym tygodniu cztery gościnne występy trupy francuskiej, zorganizowanej przez p. Marję Teresę Pierat, jedną z naczelnych artystek „Domu Moljera“

Występy te były dla Warszawy wielką uroczystością. Zgromadziły zarówno oficjalną, jakoteż istotną elitę społeczeństwa. Pozostanie nam długo w pamięci wspomnienie nad wyraz miłe, były bowiem pod każdym względem bardzo udane.

Na pierwszy ogień poszła sztuka Henryka Bersteina p. t. *„La Rafale“*, grywana w Polsce niegdyś p. t. „Bakarat“. Warszawa, pamiętająca wybornie występy Junoszy Stępowskiego, została podbita grą p. Allain-Dhurtal'a, który aczkolwiek nie posiada tak świetnych warunków zewnętrznych i tak bogatej skali talentu, jak nasz artysta, przewyższa go znacznie kulturą aktorską, a zwłaszcza szkołą.

Następnie pokazano nam „Amfitrjona 38“ J. Giraudoux. Pomimo że utwór ten nie bardzo się nadaje do eksportu—osiągnął—o dziwo!—bez porównania większy sukces od wystawianego w Teatrze Narodowym „Amfitrjana Moljerowskiego“. Stało się to dzięki wybornej grze całego zespołu, pomysłowej inscenizacji, doskonałej reżyserji, efektownym dekoracjom i kostjumom, przedewszystkiem zaś dzięki p. Pierat, kreującej główną rolę kobiecą (Alkmena).

Wspaniałym popisem owej artystki była również odegrana nazajutrz popołudniu Fedra Racine'a. Grała ją zachwycająco. Kunszt jej w wygłaszaniu aleksandrynu da się porównać jedynie z kunsztem Ireny Solskiej kreującej Kasandrę w Odprawie Posłów Greckich. Przedstawienie Fedry było również wielkim popisem p. Maupin, który zaprezentował nam najklasyczniej tradycjonalną manjerę gry Komedji Francuskiej.

Na ostatek ujrzeliśmy „Niewolnicę“ E. Bourdeta. Sztuka ta prawdopodobnie będzie niebawem grana u nas po polsku. Drastyczny temat zapewni jej niewątpliwie powodzenie. Wątpić jednak można, czy którakolwiek z aktorek warszawskich zdoła ją zagrać z tem mistrzowstwem, z jakiem ją grała p. Pierat. A zwłaszcza z tym umiarem i dobrym smakiem.

Wielka szkoda, że przedstawień francuskich było tylko cztery. Miejmy nadzieję, że impreza podobna będzie niebawem powtórzona. Stanowczo, dobre stosunki Warszawy z Paryżem należałoby manifestować częściej. Byłoby to nietylko bardzo miłe dla naszej publiczności, ale i pouczające dla polskich aktorów.

S. G.

NOWE KSIĄŻKI

Zajączkowski Stanisław. Dzieje Litwy pogańskiej do 1386 r. Lwów 1930 r. Zakład Nar. im. Ossolińskich. Str. 79.

Zubrzycki Sas Jan. Dwa zamki polskie w Malborku. Lwów 1930. S. 131.

Vrtel-Wierczyński Stefan. Wybór tekstów staropolskich. Czasy najdawniejsze do r. 1543. Lwów 1930. Księg. Jakubowski. S. 367.

Kaden Adam. Trzaski (Poezje). Kraków 1930.

Gralewski Stefan. 500 zagadek i tyleż rozwiązań. Nakład II. Warsz. Świt.

Grzegorczyk Piotr. Bibljografja literatury polskiej za r. 1929. Warszawa 1930. S. 93.

Wojciechowski Zygmunt dr. *Das Ritterrecht in Polen vor den Statuten Kasimirs des Grossen. Breslau. Priebatsch.* S. 175.

Wojciechowski Zygmunt. Zagadnienia immunitetu sądowego w Polsce w XII wieku. Lwów. 1930. Str. 20.

Brückner Aleksander. Dzieje kultury polskiej. T. II. Kraków 1930. Krak. Spół. Wydaw. Str. 660.

Czarnowski Olgierd. Polacy prawosławni w Polsce. Warsz. 1930. Dom Książ. Polskiej. S. 147.

Surzycki Stefan. Z dziejów pamiętnego „Zetu“. Kraków 1930. Przedruk z „Myśli Narodowej“ Kraków 1930. S. 16.

Wyspiański Stanisław Zygmunt August, Sceny dramatyczne. Warszawa. Bibljoteka Polska.

— Noc Listopadowa. Opracował J. Saloni.

— Wesele. Opracował Leon Płoszewski.

— Warszawianka. Opracował J. Saloni.

„Wielka Bibljoteka“ Tow. Wyd. Bibljoteka Polska nr. 3, 38 i 56.

Tatarkiewicz Władysław prof. Historja filozofji. 2 tomy. Lwów 1931. Zakład Nar. im. Ossolińskich.

Słowacki Juljusz. Dzieła wszystkie. T. VII. Lwów 1930. Zakład Nar. im Ossolińskich.

Arend Marjan Z. Kurs elem. języka angielskiego. Poznań. Nakład księg. św. Wojciecha.

Strumph Wojtkiewicz Stanisław. Dramat w ojczyźnie. Warsz. 1931. Dom Książki Polskiej.

Dunin-Kozicka Marja. Ania z Lechickich Pól. Warsz. 1931. Dom Książki Polskiej.

Wojciechowski Zygmunt. Dwie tradycje. Poznań 1931. Instytut Zachodnio-Słowiański. Str. 16.

Stojanowski Karol Dr. Haus F. K. Günther. (Niemiecki ruch nordyczny. Uwagi na marginesie książek). Poznań 1931. Inst. Zachodnio-Słowiański. Str. 12.

NA MARGINESIE

Niema róży bez kolców... Pp. Sieroszewski, Kaden-Bandrowski, Goetel przez długi szereg lat byli szczęśliwymi, oficjalnymi bardami „wysanowanej“, zdobywali honory i splendory, nazwiska i stanowiska, nagrody i dochody...

Aż oto nagle... śmiech, rozgłośny śmiech gruchnął po Polsce całej, wsłuchującej się w ich pełne dostojności... milczenie, kiedy poczciwa opinja publiczna zapytywała naiwnie, co też owi znamienici mistrzowie na świeczniku sądzą w sumieniach swoich, tak wrażliwych na niedolę ludzką i bezprawie, o niedawnych, znanych wszystkim wydarzeniach w Brześciu...

*

Podobno... słynny herszt szajki bandytów w Chicago, rozgłośny na obu półkulach Al Capone, udzielił ostatnio jednemu z czasopism miejscowych interesującego wywiadu, w którym w pełnych oburzenia wyrazach napiętnował brak patrjotyzmu ze strony prasy amerykańskiej, rozpisującej się o jego napadach i kradzieżach, a tem samem... bezecnie dyskredytującej Stany Zjednoczone w opinji całego kulturalnego świata. Dziennikarze, okazujący taki brak zmysłu państwowego, dający nieprzyjaciołom kraju swojego taki skuteczny atut propagandowy przeciwko własnej ojczyźnie, powinniby—jak surowo wyraził się Al Capone — jaknajprędzej znaleźć się w więzieniu... Uznać ich należy za winnych „zdrady stanu“...

Administracja *„Myśli Narodowej“* przypomina, że czas odnowić przedpłatę na r. 1931. Warunki podane na końcu zeszytu. Konto czekowe w P. K. O. № 3.105.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.